



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

— Pismo Ilustrowane dla Kobiet —

PRENUMERATA WYNOŚI:
w Warszawie: Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . rs. 1 kwartalnie . . . rs. 1.25
Za odnośnienie do domu półrocznie . . . „ 2.50
kop. 10. rocznie . . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcyja autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska
Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego.
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie
rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz *petitu* jednoszpaltowy lub
jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmonu
kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracyja pisma
i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna 26.
TELEFON 108.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał trzeciego roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści”
w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

„MARYSIENKA”

Portret historyczny.

(Dalszy ciąg).

Wreszcie temperatura listów podnosi się wyżej jeszcze, a „synek“ i „mameczka“ ustępują miejsca — Celadonowi i Astrei. Odtąd też pojawia się w korespondencyi nowy żywioł: polityka. Jak zawsze u Marysienki, w parze z sercem idzie głowa, a z pomiędzy sentymentalnych wynurzeń wyziera co chwila umysł trzeźwy, kombinujący i bardzo o korzyść osobistą dbały.

Korespondencyę z tej epoki przepełniają zdania zagadkowe i kryptonimy. Ostatnie były wówczas w powszechnem użyciu. Jak się zdaje, wprowadziła do nas tę modę Marya Ludwika, która też posługiwała się nimi obficie.

Posiadamy dziś klucz do listowych zagadek i królowej i Marysienki. Wiemy zatem, że w słowniku tej ostatniej król nazywał się Aptekarzem, królowa Kameleonem, Ludwik XIV Chorągiewką na dachu, cesarz austriacki Kaczką, pewien wpływowy biskup Szczurem kościelnym i t. d.

Dla Zamoyskiego wybrano przezwisko Flecik (w oryginale *Flute*). Waliszewski utrzymuje, że w tym wypadku odpowiadało ono polskiemu „Fujarze,” co oznacza głupca i niedołęgę. Można być pewnym, że ten niesmaczny, a ze względu na stosunek występujących osób, oburzający koncept, wyszedł od Marysienki. Daje on miarę jej wartości etycznej.

Wartość ta wyraźniej jeszcze przedstawia się w stosunku jej do dzieci.

Można wybaczyć pani Zamoyskiej, a przynajmniej można nie pociągać jej za to przed trybunał potomności, że była złą żoną. Wprawdzie wiarołomstwo jest zawsze rzeczą brzydką, i żaden najwymyślniejszy nawet sofizmat upiększyć tej rzeczy nie zdoła — moralny jednak upadek męża i głęboka a szczerą miłość kochanka mogą tu Marysienkę częściowo usprawiedliwić.

Gorzej, że była ona złą matką — co zresztą prawie zawsze chodzi z tamtem w parze.

Troje dzieci przyszło na świat z małżeństwa jej z Zamoyskim. Były to dzieci wątłe, słabowite i wymagające wyjątkowo troskliwej opieki. Wszystkie poumieraly — w czem dowód, że im opieki takiej brakło.

Jeden znany i stwierdzony fakt na ustalenie domysłu tego wystarcza.

W ostatnich latach swego małżeństwa, pani Zamoyska, nasyciwszy się już Polską, zapragnęła zobaczyć Francję i uciech jej zakosztować. Opuściła ojczyznę dzieckiem biednym, oddanem na wychowanie, prawie porzuconem; chciała pokazać się jej teraz jako wielka dama, magnatka, tryumfatorka. Tytuł księżnej i tarcza herbowa, na której herby d'Arquien'ów i Zamoyskich mitrą były nakryte, miały otworzyć jej szeroko podwoje dworu francuzkiego.

Mąż chory, osowiały i — nie bez zasady — podejrzliwy, nie chciał na ten wyjazd zezwolić. Ale Marysienka nie była z tych żon, które się mężów o pozwolenie pytają. Opuściła Zamość skrycie, nocą, i jak mówią zabrała ze sobą całą kasę domową. Znajdować się w niej miało 70,000 złotych ówczesnych, co znaczy blisko dziesięć razy tyle, licząc na monetę dzisiejszą.

Mimo pośpiechu, z jakim były przyrządzone kufry podróżne, nie zabrakło w nich ani jednego stroju, ani jednego klejnotu „księżnej.” O jednym tylko zabiegliwa pani zapomniała: o dziecku swem, słabowitem i smutnem, które przez sen wyciągało rączkę, wołając: „mamo! mamo!..“



Wołania nie usłuchano.

Matka pojechała do Paryża bawić się i błyszczyć, a dziecko — dziecko jedyne i ostatnie z trojga, pozostało na opiece ludzi obcych. Niech sam Cyzero wstanie z grobu i podejmie obronę takiej matki — sprawę przegra i jeszcze niechęć przeciw sobie obudził!

Rozumie się, że dziewczynka najemnym opiekunom pozostawiona, poszła wkrótce za starszym rodzeństwem. Nie wiemy zupełnie jakim sercem i jakim obliczem przyjęła ten cios matka; ojciec jednak obudził się na chwilę z odrętwienia alkoholicznego i — stanął do walki.

Walka odbywała się nie na kule i nie na szpady; zamiast nich chwycono się paragrafów sądowych. Jaki przeciwnik, taka broń. Marysienka ugodzona została w miejsce najczulsze: w kieszeń. Położono areszt na jej majątku nieruchomym, następnie przerwano wysyłkę pieniędzy do Paryża.

Kapitulowała. Co większa, z zadziwieniem wszystkich — nie wyłączając męża, uczyniła akt skruchy. Pokorna i żalująca za grzechy powróciła do Zamościa, gdzie ją przyjęto radośnie i wystawnie, biciem w dzwony, oracyami w kościele, ucztą i t. d. Przepowiedź o synu marnotrawnym pozyskała dodatek w historii marnotrawnej żony.

W tymże czasie Celadon otrzymał wiadomość, której się najmniej spodziewał. Astrea doniosła mu listownie, że kocha nad wszystko... swojego męża.

Jest to jednym z zasadniczych rysów istot w rodzaju Marysienki, że siła, nawet brutalna, cudownie je przetwarza. Mężczyzna, który rzuca je na kolana, ma zawsze u nich większą cenę, niż ten, co sam klęka przed nimi.

Ale człowiek z nerwami Zamoyskiego nie mógł energii swej utrzymać długo w napięciu. Po silnym wybuchu, nastąpiła silniejsza jeszcze reakcja i — Celadon odzyskał prawa swoje z nadatkiem.

Romans zbliżał się coraz szybciej do ostatecznego rozwiązania.

Być może, iż Sobieskiemu wystarczała najzupełniej chwila obecna; Marysienka jednak, jak zawsze, pamiętała pilnie o przyszłości. A właśnie choroba Zamoyskiego rozwinęła się; nie opuszczał zamku — dogorywał...

Więc też pewnego dnia, w warszawskim kościółku Karmelitów, ustronnym i cichym, uklękła przed ołtarzem młoda, dorodna i tajemniczą osłaniająca się para. Przy ołtarzu nie było kapłana i świece na nim nie płonęły; dwojgu młodym nikt nie towarzyszył, a kościół, przy zapadającym zmierzchu, zupełnie był pusty — jednak ten młodzieniec i ta kobieta zakwefiona łączyli się ślubami dogonnymi.

Tegoż dnia wieczorem Sobieski był w zamku, a gdy składał obrzędowy pocałunek na ręce królowej, zauważyła ona na jego palcu pierścionek, który niegdyś ofiarowała swej wychowawcy, pannie d'Arquien. Miejsce jego na palcu pani Zamoyskiej zajął inny, na którym wyobrażone były „dwa serduszka gorejące jednym płomieniem.“ Właśnie na kilka tygodni przedtem pani Zamoyska zleciła Sobieskiemu listownie, aby u złotnika zamówił taki pierścionek.

Królowa zatrzymała ten fakt w pamięci.

Niedługo potem Zamoyski umarł. Umarł pod niebytność żony, której rola siostry miłosierdzia, przez czas pewien z powodzeniem odgrywana, sprzykrzyła się w końcu. Zapragnęła na chwilę zrzucić maskę, odetchnąć całą piersią, poszaleć, a potem znów wrócić do łoża mężowskiego i czekać końca cierpliwie. Trzebaż nieszczęścia, że pomiędzy jednym a drugim przywdzianiem maski nastąpiła katastrofa!

Marysienka została wdową w warunkach najniepomyślniejszych.

Wolno było mężowi okazywać marnotrawnej żonie biblijną łaskawość — opinja publiczna, wszystkiego świadoma, osądziła ją surowo. Rodzina męża zamknęła jej wstęp do własnego domu; poddani zbuntowali się jawnie, nie chcąc nazywać jej swą panią. Jedynym środkiem podźwignięcia się moralnego i towarzyskiego byłoby małżeństwo z Sobieskim, ale czy Celadon nie zechce teraz zmienić się w motylka i do innych kwiatków odlecieć? Śluby bez księdza wiążą słabiej niż pajęczyna...

Tymczasem tak się zdarzyło, że Sobieski stał się niezbędnym potrzebny Maryi Ludwice. Wynikło to z jej kombinacji politycznych. Nie będziemy ich tu bliżej rozpatrywali, polityka bowiem w zakres tych szkiców nie wchodzi. Wiadomo zresztą na czem polegała i dokąd zmierzała polityka Maryi Ludwicy. Chodziło jej wyłącznie o uregulowanie spadku politycznego po Janie Kazimierzu. Rzecz była ztąd niezwykła, że spadkodawca żył jeszcze i cieszył się względem zdrowiem, oraz że szafarka pośmiertnych skarbów króla była jego żoną.

Politykę uprawiała też z Marysienką. Tej przyszłość Polski niewiele sprawiała kłopotu. Znacznie więcej troszczyła się ona o własną kieszeń i o pozłocenie margrabiowskiej tarczy d'Arquien'ów. Z tym trzymała, kto więcej złota sypał w jej nadstawiony fartuszek, i kto przyrzekał więcej zaszczytów dla jej ojca, sióstr i braci. Ponieważ to wszystko przychodziło jej z Francji, trzymała z Francją, i pracowała na rachunek Kondeusza.

Kiedy w danej chwili stało się potrzebnym współpracownictwo Sobieskiego, przyszła jej na pamięć historia z pierścionkiem i odgadła, że ten nieustraszony pogromca Tatarów i Turków da się zaprowadzić jak dziecko tam, gdzie mu wskaże drogę różowy paluszek Marysienki.

Zwrócono się zatem o pośrednictwo do tej ostatniej.

— Zgoda — odrzekła — ale pod warunkiem...

— Jakim? Z góry zapewniamy jego spełnienie!

— Pod warunkiem, że ten wasz Sobieski stanie się zaraz i moim — na zawsze.

Królowa zrozumiała, a następstwem tej domyślności był nowy epizod w życiu Marysienki, który Waliszewski nazywa *il matrimonio segreto*. Rzecz jest niewątpliwie skandaliczna, gdy się porówna następujące daty:

Śmierć Zamoyskiego 7 Kwietnia, matrimonio w połowie Maja; pogrzeb Zamoyskiego w pierwszych dniach Czerwca.

Wynika ztąd, że Marysienka zawarła powtórne śluby zanim jeszcze ciało pierwszego męża w grobie spoczęło.

Fakt opisany został współcześnie przez Niemiryca, ajenta elektora Brandeburskiego. Znany też był posłowi francuzkiemu, który w listach do swego monarchy wspominał o nim. Dokument Niemiryca przechowywany w archiwach berlińskich, znalazł następnie polskiego wydawcę. Wciągnięto go do historii i obciążono nim rachunek sumienia Marysienki.

Niespodzianie znalazła ona obrońcę. Pilny i zasłużony badacz naszej przeszłości, Korzon, w swem cennem trzutomowym dziele, zaprzecza kategorycznie istnieniu ślubów tajemnych, poprzedzających jawną ceremonię małżeństwa.

Rozumiemy dobrze pobudki sumiennego historyka. Nie o Marysienkę mu chodzi lecz o Sobieskiego. Chciałby z pamięci wielkiego bohatera wywabić tę plamę, która w jego oczach przybiera rozmiary zatrważające.

Wiktor Gomulicki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Coś gorszego

od pomyłki sądowej.

(Dokończenie).

Proces Zoli to na wielką skalę lekcja pogładowa, pouczająca czem jest tłum w sądach swoich zbiorowych — czem jest jego łatwość niezmierna, jego posłuszeństwo każdemu natchnieniu poddanemu przez wielkie słowa, jego zmienność, zapalczywość i okrucieństwo przy niemowlecej prawdziwie naiwności. Tłum to dziecko, ale dziecko zepsute przez samowolę, a jak w danym wypadku, dziecko dopuszczone do głosu w sprawie przekraczającej o wiele jego kompetencję. Zdał też egzamin w onej lekcji tłum francuski — nie powiemy ze swego krótkowidztwa — bo widzenie na odległość rzeczą mass nie jest bynajmniej, ale wykazał niezmierną zawadność instynktu zdrowego, który bardzo wielu optymistów uważa za wyłączną własność tych kroci i milionów, mających niby w przyszłości dyktować światu prawa.

Te galerye natłoczone w sali posiedzeń, te dziesiątki tysięcy zalegające ulice przed pałacem sprawiedliwości, to wszystko wodzone było niby na pasku przez garść winowajców, garść ugalonowanych sztabowców, co do których wówczas już człowiek umiejący słuchać i wnioskować, przekonany był, że ich miejsce na ławie oskarżonych. Generalowie zapewnijają po stokroć razy z ręką na sercu, że to nieprzyjaciele republikańskiej formy rządu uknuli tę całą nikiemną intrygę, że to są ci, którzy chcą zgubić ich drogą, kochaną Francję, że nie można tej zguby skuteczniej dokazać, jak zniesławiając armię, która jutro może będzie musiała ruszyć ku granicy, że Dreyfuss, to zdrajca nie tylko na mocy dowodów tajnych, których bez zgubienia kraju wydobyć na jaw nie sposób, ale na mocy dokumentów stwierdzonych, jako

autentyczne—niewątpliwych. Zresztą on sam już po degradacji przyznał się do winy; znajduje się nawet taki, który słyszał to wyznanie, ale niezareportował o tem władzy, bo to już było zbyt późno.

I ta publiczność oświeceniowa niby, bo taką przecież tylko wpuszczano do sali posiedzeń, ta publiczność oklaskuje każdego z tych dekorowanych fałszerzy; co słowo słycać okrzyki: „niech żyje armia! — precz z żydami.“ Z wnętrza gmachu wylewają się te hasła obłędne na ulicę, i tam dopiero obmyślać musi policja tylne wyjścia dla Zoli, jego adwokata i jego stronników, a mimo wszystkich wybiegów i podejść, tłum dogania karete Zoli, obrzuca ją błotem, przy okrzykach: „Pluć na Zole! Do Sekwany z nim! Niech żyje armia!”

To wszystko działo się pod hasłami antysemickiego patriotyzmu; to wszystko były roboty zatruwanych wielkiego sztabu winowajców, ratujących się ostatnimi fortelami kłamstwa, a sekundowanych przez niezmorowanych warchołów, takich jak Rocheforty, Deroulédy i tylu innych, którzy w danym wypadku umiejętnie bardzo spożytkowywali słuszne z wielu względów niechęci i pretensje francuzkie do, nadużywającego w istocie swojej przewagi, żydowskiego możnowładztwa.

Nie możemy sobie wystawić, aby człowiek przekonany, który podejmuje ciężką walkę w obronie prawdy i słuszności, aby człowiek taki potrzebował poklasku na podniecie, a jednocześnie lękać się miał obelg i zniewag ogłupionego przez złą wiarę motłochu, ale doprawdy, że zbyt ciężkimi okazują się w naszych czasach walki podobne, i zbyt drogo kosztować zaczyna spełnienie tego, co się w sumieniu ludzkim nazywało dotąd obowiązkiem obywatelskim.

Można powiedzieć o Zoli, że jeśli ze świadomością zupełną przystępował do podjętego zadania, a nie godzi się przypuszczać, aby przystępował inaczej, to jest nieladajakiego hartu człowiekiem, a nawet posiada wbrew głoszonemu o nim słuchom, niezwykłą fizyczną odporność organizmu i wytrwałość nerwową. Człowiek słabych przekonań, samolubny, chwiejny, egoista, po sto razy miał sposobność porzucenia całej sprawy, rzuciwszy na odejściu: „Tłumie bezmyślny a dziki, chcesz, aby cię oszukiwano — bądźże oszukiwanym wszędzie i zawsze!”

Wiadomo, że sądy zmuszone zamknąć się w zakresie przyznanych im atrybucji, skazały Zole na zamknięcie i kosztą, wiadomo, że Zola opuścił Francję przed uprawomocnieniem się wyroku, opuścił pewny zupełnie, że rzucone nasienie wzejść musi w przyszłości najbliższej, inaczej mówiąc, że zaniepokojona opinia bądź co bądź domagać się będzie stanowczego wykrycia prawdy.

Stało się jak przewidywał. Po długich walkach w łonie parlamentu i władz państwowych, przyszło nakoniec do postanowienia, mocą którego rewizya procesu została uchwaloną. Trybunał kasacyjny najwyższy z nieograniczonem do tej sprawy pełnomocnictwem, złożony z 47 członków pod prezydencją p. Mazeau, roztrząsał tę sprawę, pełną drażliwości, fałszów, brudu wszelkiego, której też dla tego, i dla wielu zapewne in-

nych powodów, pisma nasze nie podawały w wyciągach, mogących dać należyte pojęcie o doniosłości spełnionego przez władze wojskowe przestępstwa — a także mogących znawcom techniki prawnej wykazać całą wartość wiekowego dorobku Francji na polu nauki i praktyki prawnej. Ten pamiętny proces, który zajmował sobą uwagę całego świata, pogłębiając moralność sfer wojskowych francuzkich najwyższych, dał jednak możność francuzowi do powiedzenia, że ma jeszcze kraj jego sprawiedliwość, i że ma sędziów, biegłych w swoim zawodzie, a nie przystępnych wpływom postronnym.

Sąd kasacyjny najwyższy po długich dochodzeniach, debatach i wnioskach, zniósł ostatecznie wydany na Dreyfussa wyrok w roku 1894, i sprawę jego przekazuje do powtórnego osądzenia władz wojskowych, nazywając zebrać komplet sądu z pośród oficerów korpusu konsystującego w Rennes. Jakkolwiek wydaje się, że sprawa sądowa każda ma wynik ostateczny niepewny, to przecież ta wyjątkowo pozwala przewidywać rezultat dla obwinionego najniewątpliwiej pomyślny. Pokazało się bowiem z dochodzenia:

Że dokumenty piśmienne, na podstawie których zapadł wyrok są jedne sfalszowane, inne zaś pisane są nie ręką Dreyfussa, a ręką Esterhazy'ego, że nadto inne dowody, składające tak zwane akta tajne, były dorobione później, w miarę, jak nad zapadłym wyrokiem zaczynały się gromadzić chmury podejrzeń i oskarżeń publicznych.

Że pomiędzy prowadzącymi przeciw Dreyfussowi śledztwo i uczestnikami sądu wojennego znajdowali się ci sami właśnie fałszerze dowodów i organizatorowie całego przeciwko sprawiedliwości spisku, z których jeden mianowicie pułkownik Henry, uwięziony przez władze wojskowe, które już wtedy nie mogły przytłumić skandalu, samobójstwem zakończył swoje uczestnictwo. Pozostawił on kilka słów przed śmiercią powiedzianych do najbliższego otoczenia, które zwierchność jego wojskową pod wyraźnym zarzutem współnictwa stawiają.

Sąd wojenny, rozbiegając ponownie sprawę Dreyfussa, pozbawionym został przez trybunał kasacyjny materiału oskarżającego, ponieważ wszystkie dowody piśmienne są uznane jako nieobwiniające rzekomego przestępcy, a zeznania inne, przeciw niemu poczynione noszą wszystkie cechy niezaprzeczonego tendencyjnego kłamstwa.

Przyczyniły się też i ambasady obce do wyświecenia prawdy. Attaché wojskowy włoski, pułkownik Panizardi powiada wprost, że Dreyfussa, jako dostarczyciela tajemnic wojskowych ani znał, ani słyszał o nim, jako o takim, natomiast przyznaje, że od majora Esterhazy'ego kupował różne wiadomości i płacił mu za nie. Pułkownik Schwartzkoppen, attaché ambasady niemieckiej, przed rządem własnym złożył deklarację, że nigdy pośrednio, ani bezpośrednio nie używał Dreyfussa jako podpatrywacza, a pułkownik Talbot, członek ambasady angielskiej, z przedziwną szczerością upowszechnia, że Esterhazy był jego stałym sekretarzem generalnego sztabu francuzkiego dostarczycielem.

Taki jest stan dzisiejszy tej machinacji, wobec której wszystkie razem wzięte pomyłki sądowe tracą na kolorycie i zabarwieniu tragicznym. Wybrać sobie ofiarę, osnuć, przeciw niej intrygę, zgubić tę ofiarę doszczętnie i następnie dla usprawiedliwienia zbrodni, kłaść przestępstwo na przestępstwo, fałsz na fałsz, jest to coś, co narusza pojęcie ogólne o własnościach ludzkiego sumienia, o konieczności skruchy wcześniejszej lub późniejszej w człowieku zwykłym. Dotąd jednakże świat nie zna chyba winowajców głównych, tak dobrze, jak obcemi mu są pobudki i geneza sama zbrodni. Czy dowie się wszystkiego — trudno jest rozstrzygać dzisiaj, tak, jak trudno jest niewtajemniczonym jak my ludziom domyślać się na odległość, z jakimi czynnikami łączy się sprawa, co stoi poza kulisami akcji, i co dla Francji wyniknącby mogło z całkowitego odsłonięcia tego gniazda nieprawości.

Dosyć ciekawe są też i u nas niektóre pojedyncze na tę zawiłą sprawę zapatrywania, o tyle ciekawe, o ile, rzecz można, niebudujące. Jak wszystko prawie, są i one importowane z zewnątrz, ale dobrze przyjmują się w niektórych sferach, i wywołują cały szereg trochę naiwnych, trochę występnych zapytań.

— A więc ten Dreyfuss ma być podobno wolny?

— Tak piszą, i tego należy się spodziewać po rozpatrzeniu sprawy przez trybunał kasacyjny.

— Szczególny trybunał! Ludzie prawdziwie wtajemniczeni twierdzą, że Esterhazy przyznał się do napisania dokumentu oskarżającego Dreyfussa, bo mu za to jako bezpiecznemu za granicą zapłacił syndykat żydowski. Wszyscy popierający tę nieszczemność są przekupieni.

— I Zola także?

— Naturalnie.

— I trybunał najwyższy, sądzący w całym komplecie 47-iu członków, w połączonym składzie swoich trzech izb — trybunał złożony z pierwszorzędnym znawców prawa i uczonych?

— Dlaczegożby nie? A potem, jakoś trudno sobie nawet wyobrazić żeby taki człowiek mógł być wypuszczony na wolność.

— Nawet w razie jeśli jest niewinny?

— Jakim sposobem on może być niewinny? Wreszcie winny czy niewinny, nie może przecież odzyskać stopnia wojskowego, mundur, oznak honorowych — nie może objąć obowiązków, których został pozbawionym... to się w głowie nie może pomieścić podobna potworność.

Jak widzicie czytelniczki, umysły opętane przez niedoleżnie pojęty antysemityzm, należą nietylko do bardzo uprzedzonych, ale i do bardzo nielotnych. Wolno, a może i należy, kwestyonować użyteczność żyda w służbie wojskowej, ale wyobrazić sobie, że żydowi, którego się tam raz wpuściło, godzi się wyrządzić wszelką krzywdę, i że w razie dopuszczenia się na niewinnym niesłusznej srogości, niema co myśleć dlań o rehabilitacji i zadosyćuczynieniu, to inna znowu zupełnie sprawa.

W każdym razie to chyba jeszcze nie koniec tym razem.

A. S.

MALARSTWO.

W salonach resursy obywatelskiej, gdzie od pewnego czasu Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych mieści swoje zbiory, urządzono wystawę prac Juliusza Kossaka.

Zmarły artysta lubił tonąć w marzeniu o przeszłości. Nie jest to olbrzymie marzenie tytana-Matejki, tak skłonny do wizyj posępnych, że nawet w harmonię radosnych obchodów wpłatał dźwięki złowróżbne, i złowróżbne uśmiechy kładł na niektóre oblicza wśród tłumu radością i tryumfem rozjaśnionych twarzy. Marzenie Kossaka, to marzenie ducha pogodnego, dobywającego z otchłani dziejowej momenty niczem niezakłóconego szczęścia, momenty radosnego wyładowania się energii. Duch to mniejszy, niż autora „Grunwaldu.“ Sam ulubiony rodzaj jego (akwarela) nie pozwalał na rozpęd wielki, na rzucanie na płótno wielkich scen dziejowych, wizyj olbrzymich rozmiarów. Niby istotnie marzenie w bladawych, spłowiałych tonach, występują u niego sceny domowe, lub epizody wojenne, niedosięgające jednak nigdy stopnia tragicznego napięcia, nawet gdzie tego wymaga treść obrazu.

Jakąż potężną tragedję zrobiłby Matejko z tematu „Herbert pod Sokalem.“

U Juliusza Kossaka Herbert ma tylko w sobie bezkłopotliwy animusz, ten sam animusz, który podziwiamy po tyle razy później zgodniej z prawdą historyczną i psychologiczną, rozlany w twarzach polskich szwoleżerów.

Podobnie zbyt tragiczne motywy, nie harmonizujące z jego usposobieniem, podjął Kossak ilustrując Grażynę i Wallenroda. Bezwątpienia są w obu tych cyklach rzeczy bardzo piękne, całości jednak nie przenika duch poematów.

O ileż lepiej harmonizuje się Kossak z Sienkiewiczem, o ileż więcej szczeroci jest w obrazach jego, ilustrujących domowe życie naszych przodków. Ileż tam pogody!—aż dziw przejmuje, że ludzie mogli być kiedyś tak szczęśliwi. Ot, weźmy obrazek p. t. „Stado.“ Jest legenda, i w Mohorcie mamy o niej wzmiankę, o białej klaczy, która właścicielowi swemu przywiodła ze stepu całe stado dzikich koni.

Na obrazku Kossaka, przed wrota słomą kryte wyszedł gospodarz, Piast, choć w szlacheckiej szacie, za nim syn i żona, na której twarzy maluje się podziw i wdzięczność za to dziwne zrządzenie boże, za ten widomy znak błogosławieństwa. Klacz biała garnie się do ręki pana, jakby czuła, że zasłużyła na pochwałę. Wyraz ten ma nietylko fizjonomii zwierzęcia, ale i całe jego ciało, z pieszczotą jakąś garnące się do człowieka. Ale najwspanialsze są postacie tych dzikich stepowych biegunów, które tu przyszły same, i są jeszcze niepewne, płochliwe; same przyszły żądać opieki, same poddają się pod władzę człowieka i w jego futorze słomianą strzechą krytym szukają schronienia. Ich oczy błyszczące, ich ciała gibkie, pełne są

niezmiernego wdzięku. Jest w całym obrazku nie dający się opowiedzieć nastrój, jest coś dziwnie rodzimego w zacieśnionym wprawdzie trochę pejzażu i w obliczu gospodarza futoru. Temu widać, jak mówi poeta, sążonem było „dochować się syna, i stada, i sada, i starego wina.“ Przed tym obrazkiem marzyć można cichem, pogodnym, trochę melancholijnym marzeniem.

A teraz przejdźmy do „Pochodu.“ Czytelnicy pamiętają zapewne tę świetną kartę z epepei Sienkiewicza, gdy Chmielnicki na czele zbuntowanych tłumów rusza, by walczyć *ogniem i mieczem*. Pamiętają zapewne ten cudowny opis wiosny ukraińskiej, rozkwitłego, szumiącego stepu, który wita Chmielnickiego swą potężną pieśnią. Teorbany i litaury grają, malinowa chorągiew z archaniołem powiewa nad zastępami. Dzikie ptactwo z krzykiem zrywa się z pod kopyt końskich i chmurą przesłania słońce, a zastępy te na bój i śmierć idące żywiołowym jakimś pędem, pieją melancholijną pieśń „Hej wy stepy!“

W obrazku Kossaka jest niewieloma rysami zaznaczona taka olbrzymia bujność przyrody stepowej, że zdaje nam się, iż wciągamy w płuca ten silny, krzepiący wicher stepu, usposabiający do wszelakich wyskoków fantazyi, awanturniczości i siłę wlewający w żyły.

Szkoda, że nie można było zebrać wszystkich ilustracji Kossaka do trylogii Sienkiewicza. Warszawa zna wprawdzie wszystkie niemal, ale zajmującą byłoby rzeczą mieć przed oczami cały szereg obrazów przypominających sceny wielkiej trylogii. Na obecnej wystawie zauważyłam tylko z cyklu tego oprócz „Pochodu“ znane „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-bejem“ i „Spotkanie Zagłoby z orszakiem weselnym.“ Ten ostatni obrazek najmniej udatny. Krasa dziewcząt ukraińskich nie uwydatniona bynajmniej. Zagłoba jest skończonym opojem, ale niczem więcej.

Legenda o Stanisławie Reverze Potockim, któremu wieśniak jako wróżbę przyszłego hetmaństwa, przyniósł wyoraną w polu buławę, dostarczyła Kossakowi tematu do jednego z tych pogodnych obrazków, których tyle zostawił po sobie.

Podobne wrażenie wywiera ilustracja do znanej anegdoty z życia Jana III. Król ujmuje kibić kowalowej z Jaworowa i puszcza się z nią w tan. Postać Sobieskiego wspinała i tak rozpogodzona, jak gdyby odsiecz Wiednia nie miała być ostatnim piorunowym krzyżem sławy.

Gdybyśmy jakimś historycznym porządkiem przeglądać chcieli prace Kossaka, należałoby wspomnieć teraz o ulubionych przez artystę tematach z kampanij napoleońskich. Znalazł on tam najwłaściwszy dla siebie żywioł. Amator i znawca konia miał tu bogate do popisu pole. Ze wszystkich historycznych najwdzięczniejsze też to chyba obrazki. Ot, weźmy taką ilustrację do najpopularniejszej ze wszystkich piosenek „Puk, puk w okieneczko!“ Trzech ułanów stanęło przed chatą, trzech ułanów jak malowanie, a najśmielszy puka do okienka. Dziewczyna wygląda. W jej twarzy wiele zdziwienia, dużo radości, a jak się zadziwi dziewczę, gdy wyjdzie przed cha-

tę i ujrzy mnóstwo tych wojaków zjeżdżających ze wzgórza. Pełna ich cała droga, a wszyscy na koniach, nad każdym chorągiewka furczy. „Hej, tam na górze jest wojsko duże...“

W obrazie zatytułowanym „Bitwa pod Somosierra“ niema już właściwie bitwy. Koziełtowski, pod którym zaraz w pierwszych chwilach ataku zabito konia, pieszo zdaje raport cesarzowi, rannego Niegolewskiego niosą towarzysze. Krajobraz wydaje się trochę fantastycznym, mało tu podobieństwa do wąwozów, nie widać też strumienia, który płynął jego dnem. Postać Napoleona trochę ciężka, nie przemawia do wyobraźni.

Kilka jeszcze epizodów z wojen napoleońskich spotykamy na wystawie, a w każdym uderzają piękne kształty koni, i marsowe a wdzięczne postacie szwoleżerów.

Konia, tę istotę wrażliwą, nerwową, inteligentną, pobudliwą w najwyższym stopniu, zapalną, umiłował szczególnie artysta. Jest kilka pierwszorzędnej wartości obrazków, których bohaterem jest koń, „Powódź“ np. lub „Klacz ze źrebkiem.“ Na pierwszym ileż wyrazu przerażenia mają w sobie fizjonomie tych dwóch zwierząt zagrożonych śmiercią—o ileż spokojniejszemi są źrenice źrebaka nie odczuwającego w tym samym stopniu niebezpieczeństwa. A na drugim jakież mądre, ile macierzyńskiej jakiejś troskliwości i niepokoju mają w sobie oczy klaczy, napół dzikie, napół jakby ludzkie. Duszę zwierzęcia rozumiał Kossak i odtwarzać umiał.

Doba współczesna pozostawiła też ślady liczne na twórczości Kossaka. Życie galicyjskie barwniejsze od naszego, bogatsze w typy i kostiumy dostarczało mu wiele materiału. Bardzo ładne są obrazki z życia huculów, bardzo ładne koniki stąpające ostrożnie po ścieżkach górskich.

Sfery wyższe przedstawiał nam Kossak w chwilach sportowego entuzjazmu. Mamy więc kilka scen polowania par force, kilku magnatów galicyjskich na swoich wyścigowcach, kilka portretów pań z wielkiego świata konno. Bardzo zajmujące są twarze niektórych dam. Hr Maurycowa Potocka np. ma dziwny spokój pięknego czoła, kontrastujący z oczami pełnemi tajonego ognia, z oczami które możnaby nazwać bohaterskimi, gdyby wyrazu ich nie osłabiało jakieś znużenie rozlane po całej twarzy.

Obok portretu hr. Jana Tarnowskiego na jakimś koniu wyścigowym, wisi obraz przedstawiający Tarnowskiego hetmana, a dalej trochę Żółkiewski, a dokoła znów wyścigowce poprzyzywane „Przedświt“, „Kondeusz“ i t. p.

Czas skończyć, bo pod pióro nasuwają mi się uwagi, wychodzące poza zakres estetyki, malarstwa i t. p.

H. C.



Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Wyjechali, nie czekając końca sezonu. Jemu było tam duszno, jej za przestronnie. Wobec tego morza, tych skał, tego nieba i tych prostych, tak doskonale do przyrody tamtejszej przystosowanych ludzi, czuli się oboje zanadto — cudzoziemcami.

Ferye upływały dopiero za kilka tygodni, wracali więc do Paryża „rzemiennym dyszlem“, zatrzymując się po tygodniu w każdym z miast większych; a do niektórych umyślnie zbaczając.

Właściwej żyłki turystowskiej żadne z nich w sobie nie miało. Osobliwościom przyrody i arcytworom sztuki Cieński przyglądał się wzrokiem zimnym, nie zdradzającym przełotnej nawet ciekawości; Wanda czyniła nad nimi uwagi, zdumiewające ogromem — naiwności. Jak większość ludzi, zbyt wyłącznie i zbyt wcześnie naukom ścisłym oddanych, nie odczuwali oni piękna i cenić go właściwie nie umieli.

Mimo ciągłej zmiany miejsca i obfitości coraz nowych wrażeń, dokuczała obojgu nuda. Taili ją wzajem przed sobą, krępowani pewnego rodzaju wstydlivością, właściwą wszystkim młodym, nawet w tak niezwykle sposób skojarzonym małżeństwie.

Bezpośrednią przyczyną nudy była ścisła umysłowa dyeta, na jaką skazali ich lekarze przed wyjazdem. I mężowi, i żonie zabroniono jak najsurowiej prowadzić studia naukowe, czytać uczone dzieła — myśleć nawet o specjalnościach, którym się poświęcali.

Dość dziwny był to zakaz dla małżonków, udających się w podróż poślubną, widocznie jednak nie przedstawiali oni dostatecznej pewności, że sami sobie wystarczą...

Paryscy lekarze bywają domyślni, a zarazem i pomysłowi. Aby zabezpieczyć się, że zalecenia ich będą wypełnione, straż nad żoną powierzyli mężowi, a nad mężem żonie.

Jeszcze w Paryżu małżonkowie przetrząsnęli nawzajem swoje walizki podróżne, przy czym Wanda skonfiskowała Cieńskiemu grube dzieło o starożytnościach assyryjskich, on zaś zapłacił jej za to wyrzuceniem ukrytych między sukniemi „biuletynów“ Akademii nauk.

Pewnego razu, na czwarty czy piąty dzień po przybyciu do pewnego dużego miasta, którego osobliwości już zwiedzili, Cieński rzekł do żony:

— uprzedzić was muszę, że dziś nie będę mógł towarzyszyć wam w wycieczkach na miasto. Nawet obiad bądźcie łaskawi zjeść bezemnie. Pewne drobne, osobiste sprawy zmuszają mnie do wcześniejszego wyjścia z domu.

— To dziwne! — zawołała Wanda prawie z radością — właśnie i ja o toż samo prosieć

was miałam. Muszę załatwić kilka „babskich“ interesów, przy których współudział wasz byłby zupełnie zbyteczny.

— Więc do widzenia. Wrócę przed wieczorem.

— I ja zapewne nie wcześniej.

Podali sobie ręce. Cieński wybiegł z nerwowym pośpiechem. Można byłoby sądzić, że mu przypięła skrzydła — miłość wirolomna.

Już zapalano gaz, gdy małżonkowie weszli prawie jednocześnie, ze stron przeciwnych, na werendę kawiarni hotelowej. Każde miało w ręku sporą paczkę.

Przywitali się po koleżeńsku i usiedli przy jednym stoliku. Żadnemu przez myśl nawet nie przeszło wystąpić z zapytaniem:

— Skąd wracasz? — co niesiesz?

Obustronne poszanowanie swobody było pierwszym przykazaniem ich katechizmu małżeńskiego.

Po krótkiej, obojętnej rozmowie i przzerwaniu dzienników wieczornych, przeszli do hotelu, gdzie zajmowali dość duży pokój z alkwą. W pokoju sypiał mąż, w alkwie zastawionej parawanem żona.

Wandzie pilno było tego wieczora do spoczynku. Prawie zaraz po powrocie, powiedziała Cieńskiemu „dobranoc“ i wślizgnęła się do swej sypialni, nie zapomniawszy zabrać ze sobą przyniesionej z miasta paczki.

Po chwili, była już w łóżku, zakryta zupełnie rozsuniętym na całą szerokość parawanem. Świecę postawiła przy sobie na nocnym stoliku i szybko, z dziwną jakąś pożądlivością ją odwijając paczkę.

W paczce były książki.

Pochwyciła leżącą na wierzchu, podniosła do oczu i... odrzuciła na stolik, skrzywiwszy się gniewnie. Następnie zrobiła to samo z drugą i trzecią.

Ściągnęła brwi, pomyślała chwilę i rzekła, unosząc się na pościeli:

— Czy już śpicie?

— Co znowu! — odparł chłopięcym głosem Cieński. Jeszczem nawet ostatniego papierosa nie wypalił. Czy wam co podać?

— Tak. Podajcie mi z łaski swej — moją paczkę.

— Wzięliście ją ze sobą do alkwy.

— Wzięłam, ale nie swoją.

— Jakto?

— Otworzywszy, przekonałam się, że to wasza paczka.

— A!...

Nastąpiła dość długa chwila milczenia. Cieński, widocznie zakłopotany, nie wiedział co mówić. Palił szybko papierosa oraz wydobywał i chował zegarek, wcale nań zresztą nie patrząc.

— I cóż ta paczka? — spytano z poza parawana.

— Paczka?.. Nie wiem o jakiej paczce mówicie?

— O tej, którą z miasta przyniosłam.

— A... a co jest w tej paczce?

Na to zapytanie, które jakby mimowolnie wyrwało się z ust mówiącego, odpowiedziano głosem podniesionym i wyrażającym niesłychane zdziwienie:

— Co to znaczy, panie Cieński? Skąd ta indagacya?

— Wybaczcie... — bąknął nieśmiało mąż Wandy, z krzesła wstając. Ale skoro wam już wiadomo co mieściło się w mojej paczce, więc... zdawało mi się... wyobrażałem sobie... że... że...

Wanda przecięła krótko te dowodzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Żeńskie kursa im. Baranieckiego w Krakowie.

Zapewne przypomną sobie czytelnicy, że przed dwoma niespełna laty szeroko dosyć omawianą była w prasie warszawskiej sprawa zachwianych, jak się zdawało, kursów kobiecych wyższych. Owo zachwianie przypisywano radzie miejskiej krakowskiej, która w samej rzeczy dosyć ignorowała podówczas instytucję niewątpliwiej użyteczności publicznej, powstałą staraniem człowieka dobrej woli i światłego umysłu. Pobieżnie chociaż chcemy zdać dzisiaj sprawę z kolei, jakiej w ciągu lat ulegały kursa żeńskie, zwłaszcza że obecnie, gdy ostatecznie zyskały one stałą podstawę, możemy ich przyszłość widzieć w świetle pomyslniejszem.

Ś. p. dr. Baraniecki wyszedł z założenia, że wykształcenie wyższe kobiet małej zamożności było u nas zadaniem prawie nie do osiągnięcia. Brak zakładu podobnego czuć się dawał dotkliwie, więc choć oceniał sam założyciel niedostateczność środków, postanowił rozpocząć z tymi, którymi rozporządzał. I ten związek jednakże oddał swoje usługi. Przez ciąg dwudziestotrzyletniego istnienia kursów, przeszło przez nie 2,000 z górą słuchaczek, o tyle zatem zyskałiśmy lepiej rozwiniętych umysłowo nauczycielek prywatnych, o tyle więcej światlejszych matek rodziny i ewentualnie samodzielnych wychowawczyń dzieci.

Wadliwym było w roku 1896 połączenie tych kursów ze szkołą św. Scholastyki, która znosiła ich samoistność, a nadto nie uwzględniała tym sposobem najżywoźniejszej z potrzeb, dla której powstała ta instytucja. Było to następstwem systemu oszczędnościowego, którym się rządziła w zapatrywaniach swoich na potrzebę wyższego wykształcenia u kobiet rada miejska krakowska; obecnie zaszły zmiany nader ważne i w samym programie nauczania i we względzie wysokości potrzebnej zakładowi subwencji pieniężnej.

Radca miejski p. Kazimierz Bartoszewicz w tych słowach streszcza zapadłą w sprawie kursów ostatnią uchwałę krakowskiej municipalności:

„Kursa, literacki i przyrodniczy, trwać będą od 1 Października do 1 Czerwca, a więc przez miesiąc 8 w roku. Każdy kurs mieć będzie 3 godziny wykładów dziennie, przez co podwojoną została ilość godzin nauczania. Nadto wprowadza nowa ustawa przedmioty wspólne dla obu wydziałów. Dotąd naprzy-

kład pedagogika, historia filozofii i etyka wykładane były tylko na wydziale literackim, tak jak znowu ekonomia, kosmografia i geografia tylko na przyrodniczym.

Na radzie miejskiej p. Bartoszewicz, a za nim większość uznali te przedmioty jako ogólnie kształcające.

Wspólne wykłady rozszerzają też w nowym obecnym programie zakres dotychczasowy — zbyt wyspecjalizowany. Z nowych przedmiotów poprowadzała instrukcja: biologię, historię kościoła, historię polską epoki ostatniej.

Nie jest to zapewne plan idealny, należałoby go jeszcze rozszerzyć, ale sekcja szkolna, przez którą przechodziła ustawa, liczyć się w tej chwili musiała z materyjalną możliwością gminy. Stało na tem ostatecznie, że dotychczasowe wydatki wzrastają przy reformie z 2,900 reńskich na 6,184. Jest to jak się zdaje wszystko, czego po radzie miejskiej na tę chwilę spodziewać się było można.

Najważniejszą korzyść widzimy w tem, że miasto bierze kursa na siebie, przez co wychodzą one z charakteru tymczasowości, a wzamian za to będzie na przyszłość dyrektor kursów wybierany przez sekcję szkolną.

Co do planu nauk, to przedstawia się on dzisiaj w całości tak:

I. Wydział literacki (ogółem godzin 580).

Przedmioty: Historia polska dawna (87 g.) nowa (29 godzin).
Historia powszechna (g. 145).
Historia sztuki (g. 87).
Historia literatury polskiej (g. 116).
" " powszechniej (g. 116).

II. Wydział przyrodniczy.

Przedmioty: Matematyka (g. 87).
Fizyka (g. 101).
Chemia (g. 101).
Biologia (g. 29).
Geologia i Mineralogia (g. 43^{1/2}).
Botanika (g. 77).
Zoologia (g. 72).
Fizjologia (g. 58).

III. Wykłady wspólne obu wydziałów 464 g. (Z przedmiotów oznaczonych * uczenie muszą zdawać na dyplom).

Przedmioty: Kosmografia (g. 29).
Geografia (g. 58).
Etyka (g. 29).
*Pedagogika (g. 14).
Ekonomia (g. 72).
Historia filozofii (g. 58).
*Hygiena (g. 29).
O elementarnych zjawiskach życia (58).
Literatura polska XIX wieku (g. 58).
Historia kościoła (g. 29).

IV. Wydział artystyczny.

Niższy kurs rysunków	2	razy	tygod.	po	2	g.
Wyższy	4	"	"	2	"	"
Kurs malarstwa	3	"	"	2	"	"
Kurs wieczorny niższy	3	"	"	2	"	"
" " wyższy	3	"	"	2	"	"

T. M.

R. Kipling.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ.

Tłóm. z angielskiego M. G.

(Dalszy ciąg).

— Na co wam potrzeba wstążek? Czy chcecie bawić się w konie? — zapytała matka Patsie, wchodząc na werendę

— Toly chce mojej szarfy! — zawołała Patsie.

— Już nie chce! — pośpieszył z zaprzeczeniem jego królewska mość, czując, że jego biedna tajemnica zostanie mu gwałtownie wydartą przez tę „dużą osobę“, a może, co najokropniejsze ze wszystkiego, i wysmianą niemilosierdzie.

— Dam ci czapeczkę zamkniętą w rurce, która wystrzeli, gdy ją pociągniesz za oba końce — pocieszała go komisarzowa. — Chodź ze mną Toly, i sam wybierz z pomiędzy kotylionowych przyborów.

Z rurki wyskoczyła wspaniała karmazynowa ze złotem szpiczasta czapeczka. Jego królewska mość ozdobił nią swoje zmarszczone czoło. Matka Patsie miała w swej twarzy coś, co budzi ufność w dzieciach, a ruch jej przy układaniu opadającego czuba czapeczki, miał odcień macierzyńskiej serdeczności.

— Czy to będzie tak samo dobre? — zapytał król.

— Tak samo dobre, jak co? mój maleńki! — zagadnęła komisarzowa.

— Jak szarfa?

— Zupełnie tak samo. Chodź i przejrzyj się w zwierciadle.

Komisarzowa miała na celu ułatwienie maskarady ułożonej przez dzieci. Ale mały dziczek miał głębokie poczucie śmieszności. Przechylił wielkie stojące zwierciadło i zobaczył swoją głowę uwieńczoną tem jaskrawem straszylem, podobnem do błazeńskiej czapki, którąby ojciec podarł w kawałki, gdyby zobaczył ją kiedy w progach swojego pokoju. Jego królewska mość zerwał coprędzej z głowy ten strój i załzał się łzami.

— Toly! — powiedziała komisarzowa z powagą — nie poddawaj się kaprysom. Bardzo mi przykro że to widzisz. To bardzo źle!

Jego królewska mość szlochał z rozpaczą, aż serce komisarzowej wzruszyło się. Wzięła dziecko na kolana. Widocznie nie były to kaprysy, ale coś innego.

— Co to znaczy, Toly? Czy mi nie powiesz? Może jesteś słaby?

Potok łez i bezładnych wyrazów walczył jakiś czas ze szlochaniem i spazmatycznym zanoszeniem się. Nagle w gwałtownym wybuchu jego królewska mość ulżył sobie, wyrzucając zagadkowe słowa:

— Idź precz! ty szkaradny brudasie!

— Toly! co ty wygadujesz?!

— Onby tak powiedział! Ja wiem! Powiedział to już raz, kiedy na mojej sukience była plamka od jajka! I to samoby powie-

dział i wyśmiałby mnie, gdybym przyszedł w tem na głowie!

— Ktoby powiedział?

— Mój tatuś! A ja myślałem, że gdybym miał niebieską szarfę, toby mi pozwolił bawić się w koszu z papierami, który stoi pod stołem.

— Jaką niebieską szarfę? Co to znaczy?

— Tę samą co Patsie, owiązaną na mojej kurteczce!

— Co to znaczy, Toly? Masz coś innego na myśli. Powiedz mi wszystko, a może będę mogła ci dopomódz.

— To nic!.. — wyszlochał król, podnosząc główkę złożoną na macierzyńskim łonie komisarzowej. — Myślałem, że pani... że pani kocha Patsie dlatego, że ma taką ładną niebieską szarfę i że... może i mnieby mój tatuś kochał, gdybym miał taką samą...

Tajemnica wydała się, a jego królewska mość szlochał długo, pomimo obejmujących go czule rąk komisarzowej i jej pocieszających tkliwych słów, szeptanych nad jego rozpaloną główką.

Wbiegła z hałasem Patsie, wlokąc za sobą ojcowską szpicrutę.

— Chodź Toly! Pod werendą siedzi jaszczurka *chu-chu*; powiedziałam Chimowi, żeby jej pilnował. Uderzymy ją tatusiną szpicrutą po ogonku, to ogonek odpadnie i będzie się kręcił po ziemi. Chodź Toly! Prędko!

— Idę! — zawołał król, zeskakując z kolan komisarzowej, którą ucałował z pośpiechem.

W parę minut potem ogon jaszczurki wił się na macie werendy, a dzieci z wielką powagą trącały go szpicrutą, pobudzając resztki żywotności, wywołującej ruchy, „bo to już nie boli jaszczurkę.“

Komisarzowa stała we drzwiach i przyglądała się dzieciom.

— Biedny, mały robaczek! Niebieska szarfa!.. i moja droga Patsie! Myślę, że żadne z nas rodziców, najwięcej kochających, nie jest w stanie zrozumieć, co dzieje się w tych małych główkach...

Duża łza spadła na ślubną obrączkę komisarzowej, gdy wróciła do domu, by przygotować herbatę na przyjęcie jego królewskiej mości.

— Chciałabym, żeby mnie pani Austell zrozumiała... Biedny chłopczyń!

Z tą rachubą w sercu komisarzowa odwiedziła panią Austell i rozmawiała z nią długo i serdecznie o dzieciach, rozpytuując się szczególnie o jego królewską mość.

— Jest z boną — odparła pani Austell, a ton jej głosu zdradzał, że ją ten przedmiot rozmowy nie zajmuje.

Komisarzowa niebiegła w sztuce dyplomatycznej, wypytywała się dalej:

— Nic nie wiem — odpowiadała na pytania pani Austell. — To wszystko zostawiam miss Biddums; ona naturalnie, nie zrobi dziecku krzywdy.

Komisarzowa pożegnała się spiesźnie. Ostatnie wyrazy pani Austell rozdrażniły jej nerwy.

— „Nie zrobi dziecku krzywdy!“ Jak gdyby to wystarczało! Coby też Tom powiedział, gdyby moja opieka ograniczała się tylko do „nie robienia krzywdy“ Patsie!

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA.

Z prasy.

Feljeton 133 numeru „Gazety Polskiej“ zajmuje się rozbiorem krytycznym niektórych utworów poetycznych doby ostatniej, a zarazem daje ocenę szkoły i kierunku, popierając sądy swoje cytatai rymotwórców i wyjątkami nierymowanymi z manifestu przedstawiciela szkoły. Przed dwoma z górą miesiącami pomieścił i „Tygodnik“ słów kilka, tłómacząc się przed czytelnikami z zapatrywań swoich na tę całą niefortunną robotę, w przekonaniu, że do obowiązków piśmiennictwa peryodycznego należy zupełnie szczerze wypowiedzenie się, odnośnie do wszystkich podobnych zamachów na smak dobry, rozsądek zdrowy, a bardzo często i na podstawowe pojęcia o tem, co uważać należy jako ludzkie albo nieludzkie.

Feljetonista „Gazety Polskiej“, wyrażając swój żal z powodu ukazania się tego dziwactwa jałowego na bogatej niwie naszej poetyckiej twórczości, mówi o niem surowo, ale bez namietności, sądzi je sprawiedliwie, ale bez uprzedzeń najmniejszych; rozróżnia utalentowanego zkaąd inąd przedstawiciela szkoły od jego nieudolnych przedrzęźniaczy, a w końcu dziwi się nadzwyczajnej bucie, z jaką wdziera się ten krzykliwy, choć z łaski Boga niezbyt liczny zastęp, na miejsce, które mu jest nie do miary i nie do wartości. Gdyby też nie ta pycha bezgraniczna, gdyby nie ta chęćka śmieszna usadowienia się nietylko obok świeczników poezji naszej, ale o bardzo wiele wyżej niż się oni sami mieścili kiedykolwiek, można by o tem mówić z większą pobłażliwością, ale dzisiaj muszą autorowie niefortunnych mdłości poetyckich własnej bucie przypisać stanowczy ton, w jakim ich piśmiennictwo przywołuje do oprzytomnienia.

Przez pamięć na spuściznę poetycką, pozostawioną przez Sotera Rozmiara Rozbickiego, nazywa feljeton „Gazety Polskiej“ ten kierunek Neo-Soteryzmem, jakkolwiek między dwiema szkołami są różnice bardzo rażące. Tamten po części biedak, po części filut, świadomie zupełnie bawił czy śmieszył tych, co się niezbyt wybredną zadawali humorystyką, a wzamian żądał kilku groszy jałmużny jedynie; ci panowie dzisiejsi bawią wprawdzie, ale bawią mimo wiedzy i woli, a wzamian za czece natchnienia śni im się o hołdach i uwielbieniach.

Wątpimy, aby się te sny ziściły kiedykolwiek.

Sprawy miejskie.

Dworzec centralny, którego plan opracowywany jest obecnie w wydziale drogowym kolei Warszawsko-Wiedeńskiej stanie na miejscu dzisiejszego, ale posuniętem będzie więcej ku Alei Jerozolimskiej. Z dworcem tym łączy się projekt odnogi, mającej skomunikować go z kolejami prawego brzegu Wisły i dla tego celu wykonywane są trzy projekty mostu kolejowego na Wiśle w kierunku przedłużenia Alei Jerozolimskiej. Pierwszy z tych planów przedstawia most mający służyć wyłącznie do użytku kolejowego — drugi składa się z dwóch kondygnacji, górnej i dolnej, z których pierwsza przeznaczoną jest dla ruchu pociągów, druga dla komunikacji kołowej i pieszej.

Trzeci plan przedstawia również most o dwóch kondygnacjach, z tą różnicą, że przeznaczenie kondygnacji jest odwrotne, jak w wyszczególnionym powyżej. Ministerium pozostawia sobie wybór jednego z tych trzech typów mostu.

Na wystawę Paryzką.

Pewne przedsiębiorstwo francuzkie przypomniawszy sobie o istnieniu Warszawy, otwiera u nas biuro organizujące podróże zbiorowe na wystawę Paryzką. Towarzystwo bierze, jak donoszą pisma codzienne, podróży w opiekę czy kuratelę na miesięczny okres czasu, obiecując wzamian za 200 rs. bilet kolejowy na przejazd tam i z powrotem, życie w bufetach dróg żelaznych, mieszkanie i wszystkie potrzeby w Paryżu, a nadto wejście na wystawę i dziesięć biletów do teatrów paryzkich. Komu nie jest przeciwną myśl sama, że się jest niejako przedmiotem wziętym w antreprezję, ten niechaj ryzykuje 200 rs., nie zaniebując w każdym razie zaopatrzenia kieszeni w zasoby dodatkowe, bo gdyby przedsiębiorcy okazali się niedosyć wyrozumiałymi, training miesięczny mógłby się wydać zbyt długim.

Szpitala warszawskie.

Szybki wzrost Warszawy daje znać o sobie między innymi i ciągłym brakiem miejsc po szpitalach tutejszych. Tak naprzykład szpitalik dziecienny przy ulicy Aleksandrya, powstały jak wiadomo z ofiar prywatnych, okazuje się już dzisiaj zupełnie niewystarczającym, co jest o tyle przykrejszem, że do szpitali ogólnych dzieci przyjmowane nie bywają. W radzie miejskiej podjęto więc projekt wybudowania nowego szpitala dla dzieci z funduszy podatku szpitalnego.

Tak samo wymaga i szpital św. Ducha znacznego rozszerzenia, a w tym celu zatwierdziła rada miejska dobroczynności publicznej na jednym z ostatnich posiedzeń swoich, projekt nabycia dwóch sąsiednich posesyi, położonych przy ulicy Elektoalnej pod numerami 8 i 10. Szpital ten jest jednak dosyć bogatym, posiada bowiem oprócz placów przy ulicy Leszno, umieszczoną w Banku Państwa gotowiznę w kwocie rs. 340,000.

Projekt założenia szpitala dla robotników przedstawiony radzie miejskiej, został sformułowany w ten sposób. Na urządzenie, fabryki i zakłady przemysłowe złożyć mają jednorazowo po 1,500 rs. na każde łóżko, na ambulatoryum zaś składać rocznie po 150 rs. od łóżka szpitalnego. Opłata dzienna za utrzymanie robotnika w szpitalu wynosić ma rs. 1. Przy wszystkich szpitalach miejskich urządzone być mają ambulatorya bezpłatne dla przychodzących chorych robotników z wydaniem lekarstw bezpłatnem.

Wskazówki i rady.

Rosół.

Dlaczego tak rzadko rosół jest dobry?—oto pytanie, na które nie każda gospodyni zajmująca się kuchnią umie odpowiedzieć. Rachując na osobę pół funta mięsa, a najwyżej 3 funty na 5 osób, rosół powinien być dobry. Należy mięso w kamiennym garnku bez płókania nalać zimną wodą pół garnca na 4 lub 5 osób i zaraz wstawić na

ogień. Jak się zagotuje na większym ogniu przestawić garnek na mały ogień i bez szumowania (od 15 lat nie szumuję, patrz „Kurs gospodarstwa“ autorki „365 obiadów“ wydanie 2) włożyć opłókaną i pokrajaną włoszczyznę, pietruszki i marchwi nie żalować, selera niewiele, bo ten kwas robi w rosolu, 2 małe suszone grzybki lub lepiej pieczarki, kawałek kwiatu muszkatolowego i jedną upieczoną pod blachą cebulę. Strzedz się angielskiego ziela i t. p. korzeni, które są ordynarnym dodatkiem ostrym. Niech się tak gotuje pod pokrywą godzin 3 do 4 na wolnym ogniu. W razie gdyby się zbyt wygotował dolać zimnej wody, nigdy gorącej. Kto chce mieć mocniejszy, niech wkraje, strugając ostrym nożem, kawałek bulionu, a rosół będzie wysmienity. Gotowanie oddzielne bulionu i wlewanie go następnie na wazę daje smak przeważnie bulionu, czego w rosolu należy unikać. Dodanie dróbek od drobiu podnosi smak, a w razie dodania cielęciny należy ją oddzielnie sparzyć czyli zblanżerować i dopiero włożyć w gotujący się rosół. Bulion używać krajowy, bo jest bardzo dobry, ale nigdy Kleczkowskiego, który dodaje nogi baranie. Podając rosół, odstawić z ognia na parę minut i przez gęste sitko cedzić do wazy. Zaręczam, że będzie czysty jak lza, bo nauczyłam się gotować bez szumowania na obiedzie doktorskim u W. D. Skórczewskiego w Krynicy — szumowanie i płókanie mięsa zabiera bardzo wiele smaku.

Zwracam uwagę czytelniczek na nowość zamieszczoną w 18 wydaniu „365 obiadów“ na str. 410 w rozdziale 14, gdyż były spóźnione w druku „kluseczki royal“ do rosolu.

Lucyna Cwierzakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na W. Obn. w Mohylewie. „Tygodnik“ wysłały od 1 Stycznia. Jeśli utwór, o którym mowa w liście, odpowie warunkom, może być drukowanym. Nadesłać można pod adresem Redakcyi Chmielna 26.

Lekarz-Dentysta A. Zawadzki

Jerozolimka Nr. 49. (róg Marszałkowskiej).
18.

Dr. Władysław Maleszewski

Asystent kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ordynuje w **Karlsbadzie**, Hotel „Goldener Schwan.“
63

Lekarz-dentysta Frejldkin Senatorska Nr. 28 lub 30 (gdzie „Kuryer Poranny“) od 10—6.
731

DENTYSTA Leonard Kasperski.

Plac św. Aleksandra Nr. 13. Przyjmuje od 10—6.
ro25—25—10

„SŁOWO“ największy polski dziennik polityczny, literacki, społeczny, ekonomiczny i handlowy. Numera okazowe wysyła się bezpłatnie.

(Warszawa—Warecka 15).

7

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Marysienka, portret historyczny (dalszy ciąg). — Coś gorszego od pomyłki sądowej. (dokończenie). — Malarstwo. — Wyższe a popularne... — Kursa żeńskie imienia Baranieckiego w Krakowie. — R. Kipling: Jego królewska mość (dalszy ciąg). — Kronika. — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia—Edmund Chojecki: Alkhadar powieść z życia ojców naszych (dalszy ciąg).

Pracownia Sukien i Okryć Damskich
b. krojeżni firmy *B. Herse.*
JADWIGI ESMAN, 64

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE, HOTEL SASKI 116, 1-e piętro.
Pracując przez lat kilka w pierwszorzędnych magazynach w Paryżu jak: *Rouff, Felix i Dóu-*
cot, następnie zarządzając czas dłuższy pracownią *W-go Hersego,* obecnie przyjmuje
wszelkie obstalunki w zakres konfekcji damskiej wchodzące, z własnych lub powierzonych
materiałów. Obstalunki na prowincje wykonują się podług przysłanej miary.

Fabryka Parasoli i Tokarstwa
H. KIEFFER i S-ka 33

w Warszawie, *Bielajska Nr. 4, drugi dom od Senatorskiej*
Poleca wybór parasolek i parasoli. Wykonują obstalunki, pokrycia i reperacje.

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. **K. Kruszyński i L. Miciński**

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny niskie.
Sprzedaż za gotówkę i na raty. 1028-52-28

PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH

Marji Roesler

Ulica Żorawia № 30, róg Marszałkowskiej. 67

Fabryka Gorsetów **WIŚNIEWSKIEJ**

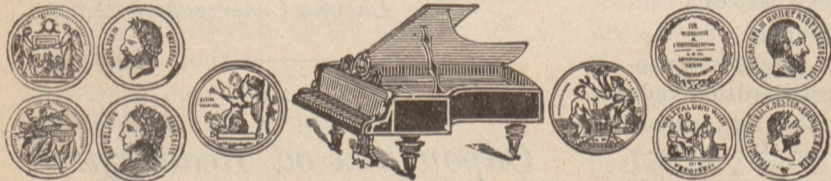
PRZENIESIONA

Czysta Nr. 5,

poleca gorsety skośne w najpiękniejszych fasonach od 6 rubli.

79

Marja Wiśniewska.



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach
wszechświatowych 71M

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

KATHREINERA

KAWA SŁODOWA KNEIPPA

sprzedaje się tylko w plombowanych paczkach z wizerun-
kiem księdza Kneippa, jako marką ochronną, gdyż jedynie
oryginalne opakowanie daje publiczności pewność otrzyma-
nia rzeczywiście patentowanego wyrobu Kathreinerja ze
smakiem kawy ziarnistej. 81A

Monachium, Akc. Tow. „Livonia“—Ryga.

Wstrzegać się bezwartościowych naśladownictw!

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

ORAZ PRACOWNIA SUKIEN

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryżkim. Nagrodzo-
na Medalem na konkursie krawców w Paryżu za Krój bez poprawek
i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, *Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.*
929—26—24

Skład towarów Żelaznych **I. WEISSMANN**
i Naczyń kuchennych 938-25-23 Warszawa Graniczna 8.

JAN KURMAN

Marszałkowska 140.

Pracownia ram, ramek do fo-
tografii, passe-partout

oraz wszelkich innych wyrobów galanteryj-
no-introligatorskich, pluszowych i skórza-
nych. 75

Nowa Pracownia!

Po długoletniej praktyce za granicą i w kra-
ju, otworzyłem pracownię okryć i kostyumów
damskich (genre tailleur). Specjalność kostyu-
my sportowe. Niniejszem mam zaszczyt polecić
się JW. i W. Paniom.

Z uszanowaniem

Jan Bydliński

58

krawiec damski i męski.

Nowogrodzka 17.

Uprasza się o zwrócenie uwagi na niebywałej dobroci

CUKRY DESSEROWE.

NOWO-OTWORZONEJ FABRYKI CZEKOLADY.

i Cukrów Desserowych.

TEODORA KOZIŃSKIEGO

Marszałkowska 123. 951-25-23

Ceny niskie.

Uwaga!!

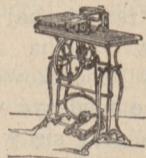
Maszyny do szycia i wyżymaczki

Wprowadziłem system fabrykacji amerykań-
ki, to jest licząc na ilość robót, obniżyłem
ceny dotąd w Warszawie niepraktykowane.
Za reperację maszyny do szycia **rs. 1,** a wy-
żymaczki **kop. 50** prócz części dodatko-
wych, które są na składzie.

Mechanik, *Złota 16* między Zielną i Wielką.
Maszyny i wyżymaczki nowe i używane są do
sprzedania w wielkim wyborze. 77

Oryginalne Maszyny do szycia

marki „The Berg Machne” uznane za najlepsze, za gotówkę
i na rozplaty. 985B-26-21



JULJAN BERG,
Mazowiecka 16.

Tanio, bo w mieszkaniu!

NOWOOTWORZONY SKŁAD

Wyrobow Płóciennych i Bawełnianych

M. RYCHTERMANA

Senatorska 28 lokalu 25.

Poleca płótna, madopolany, batysty, bieliznę stołową, firanki i trykotaże etc. z fabryk
krajowych i zagranicznych w gatunkach najlepszych.
Ceny niezwykle przystępne i stałe. 80

M. SPINKA

KRAWIEC WOJSKOWY

róg Nowego Świata wejście od Ordynackiej № 15,

wykonywa starannie i gustownie w najkrótszym czasie bez zawodu
wszelkie umundurowania **Wojskowe, Urzędnicze,** jak również **Studenckie**
i **Uczniowskie** po cenach możliwie niskich. 26



AKCYJNE TOWARZYSTWO

Fabryki Mebli Wiedeńskich

JAKÓBA i JÓZEFA KOHN

Warszawa, *Plac-Teatralny № 11.*

Poleca

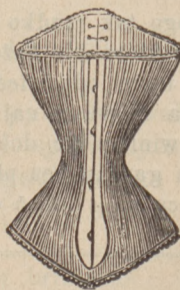
wielki wybór najgustowniejszych i najelegant-
szych mebli wiedeńskich,

mianowicie:

**MEBLE ZWYCZAJNE, MEBLE FAN-
TASYJNE, MEBLE BUDUAROWE,
MEBLE GABINETOWE, MEBLE SA-
LONOWE** i t. p. wyplatane, wypalane,
imitacja skóry w różnych kolorach
i desenjach, kryte materyą, skórą,
pluszem i t. p.

Pierwsze źródło tej branży. 16

CENY PRZYSTĘPNE.



73

PRACOWNIA GORSETÓW
M-me ANNA

Marszałkowska N-r 84 (parter) między Żorawią a Wspólną.

wyrabia gorsety higieniczne z fiszbinami sprężynkowymi nigdy się
nie łamiącymi, bardzo miękkimi, a doskonale utrzymującymi figurę.
Na wystawie pracy kobiet nagrodzona listem pochwalnym.

APTEKA K. WENDY 45

45. Krakowskie Przedmieście 45.
w Warszawie.

Wszelkie nowe środki lekarskie.
*Wina lecznicze,
Wody mineralne.*

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Podbiegł i wyjrzał; nie umiał zdać sobie sprawy — oczom własnym nie mógł uwierzyć.

Na dworze igły można było zbierać. Niebiosy stały w ogniach; czerwona luna opasywała widnokrąg, do koła dym gęstymi kłęby wywijał się, unosząc w obłoki roje trzeszczących iskier; z chmurnego zamętu, tu i owdzie błyskały płomienie. Dalekie krzyki, nawoływania i jęk kościelnego dzwonu, okropnie wtórowały przerażającemu obrazowi.

Drzwi otwały się z łoskotem; wpadł wybladły służący, zatrzymał się, ledwie mógł jąkać słowa:

— Paniel... gore... pożar — wszystko w ogniu!

Wilczek nie dosłyszał ostatnich wyrazów; już był na dole w przedsionku, gdzie całe towarzystwo zerwane ze snu, wylękłe, zgiełkliwie dopytywało się o przyczyny i szczegóły kłęski.

Wybieżono na dziedziniec. Luna z dwóch stron biła na pałac; od wjazdu, płonęły stodoły, spichrze, dworskie zabudowania; od ogrodu, w oddali, gorzał jak świeca domek Nastusi.

Wszyscy hurmem sypnęli się ku płomieniom; walka z niszczącym żywiołem obudziła powszechną energię.

Wilczek objął dowództwo nad zastępem; obecność jego, donośny głos, rzadka przytomność umysłu, ład wprowadziły w pomieszana cizbę. Kto żył, spieszył do ognia; rozstawiono koleje z wiadrami, łamano zajęte płomieniem dachy, osłaniano mokremi płachtami przyległe budynki. Goście, domownicy, lud wiejski, wyprzedzali się w dzielnej pomocy; wszystkie siły ratunku skupiono w jedno miejsce. Wilczek surowo zabronił zajmować się ocaleniem domku w ogrodzie, postanowił poświęcić go na pastwę płomieniom — dla nierozdzielenia sił, jak mówił — a może też i dla innych tajemnych powodów, których przed nikim nie wyznał.

Śród łomu i trzasku, dymu, płomieni i rozżarzonych popiołów, ukazywała się wyniosła postać pana włości, grzmiał głos jego rozkazów, groźnie świeciły roziskrzane oczy, i gawiedź posłuszna na oslep waliła się w niebezpieczeństwo — w morderczy żywioł, który rozbitą zapędem człowieczej woli, zaczynał zwijać ogniste swoje proporce.

Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę ludzkich usiłowań.

Nad rankiem, przyduszony płomień gdzieś niegdzie tylko pełzał po zgliszczach, dym czarnymi płachty kopcił się jeszcze nad ziemią; tu i owdzie tliły główne, ale ważniejsze budynki były ocalone. Pożar zniszczył próżną, szczęściem stodołę i folwarczną wozownię; obory, owczarnie i spichrze uratowano.

Domek Nastusi spłonął do szczytu. Zdaleka, między zielenią, jak upiór, jak trup wyniesiony z kostnicy, sterczał szary, ogryziony płomieniem dymnik, smętny mogilnik rozpusztych uciech magnata i nieszczęsnej doli wiejskiej dziewczyny. Śród dogorywającego pogorzelska, słup ten, groźnie, rozpacznie odbijał się na niebios błękitach, rozkrywał i gruzami wypisywał tajemną historię domku, dopominał się u okolicy o pożalowanie i zemstę.

Wilczek zrozumiał ukryte znaczenie straszego hieroglify; wzdrygnął się, odwrócił oczy, przywołał dozorcę i rozkazał, aby kilkunastu ludzi z motykami, do wieczora, śladu mu nie zostawiło z rumowisk. Wypalone miejsca miały być natychmiast pokryte świeżą darnią; ogrodnik otrzymał polecenie przesadzenia żywcem rozrosłych krzewów i drzew na grunt dotknięty pożarem.

Wilczek odetchnął na samą myśl zrównania z ziemią bolesnych pamiątek; przypadek dziwnie mu wygadzał, uwalniając go od natrętnego widoku domku sieroty.

Przypadek!... Miałżeby w istocie przypadek być jedyną przyczyną kłęski?

W pierwszej chwili gwałtu, gdy głównie szło o zapanowanie nad ogniem, gdy wszystkie myśli i siły wyteżały się ku temu jednemu celowi, nie było czasu dopytać się, ani badać prawdy. Skoro atoli minęło niebezpieczeństwo, uwaga pobiegła ku wnioskom; goście, domownicy i sam gospodarz, wzięli stróżów nocnych w obroty, pilnie zważając na każde ich słowo.

Stróże nie umieli dać zaspakajającej odpowiedzi; jeden przysięgał, że w chwili, gdy obchodził wioskę, nagle ujrzał płomień na dachu wozowni; drugi kłął się, że gdy wracał od karczmy ku pałacowi, stodoła z dwóch rogów razem zapłonęła; inni, równie ciemne dawali tłumaczenia; żaden, nieszczęsnym trafem nie znalazł się w stanowczej porze tuż przy zajętych budynkach — z samego atoli rozłożenia pożaru wypadało, że na prosty przypadek niepodobna było składać winy, tembardziej, że ogień w tymże czasie zajął gospodarskie zabudowania i znacznie odległy, a oddawna nie zamieszkały domek Nastusi.

Złość ludzka oczywiście była jedyną sprawczynią kłęski. Ale kto podpalił, z jakich powodów, gdzie kryła się nieć zbrodniczego zamachu, w jakim związku znachodziło się zabójstwo Lumpmana z podłożonym ogniem? — każdy wpadał na tysiączne domysły — nikt wątku prawdy nie dostrzegał; nie jeden nadzieję wykrycia zbrodni kładł w sądownictwie; byli i tacy, którzy głęboko wierzyli, że sąd z niczem odjedzie.

Z dworskich, kuchcik tylko mógł być wprowadzić na pewne poszlaki. On jeden pó-

żno wróciwszy z karczmy, w obawie pięści kucharza, spędził resztę nocy na szorowaniu rądli; on pierwszy dostrzegł płomień, wybiegł na dziedziniec, wpadł do ogrodu i ujrzał zdaleka, mknące od domku dziewczyny, w pole, na przelaj, dwie postacie, z których jedna kaducznie przypominała mu urlopnika wachmistrza.

Spostrzeżenia te acz mgliste, niepewne, mogły być wszelako pomódz do wydobywania jaw zagadki, ale kuchcik, nieraz przy ognisku, nasłuchiwał się dowoli o niewygodach świadczenia przed sądem, wiedział, że komisya łakoma wyznań dobiwała się o nie wszelkimi sposobami, wtedy nawet, gdy świadek przysięgłszy na Bożą mękę, nic więcej nie miał do powiedzenia. Piotruś troskliwy o własną skórę, zacisnął zęby i roztropnie przysięgł sobie nie mięszać się do żadnego innego, prócz do kuchennego ognia.

Tymczasem pożar dogasał, zmęczenie natomiast ośwładało całonocnych, dzielnych pracowników. Przyniesiono wiejskiemu ludowi wódki, polecono mu ostateczne przytłumienie zablakanych iskier; służba i goście, wycieńczeni na siłach, jedni za drugimi zdążali na spoczynek.

Wilczek wracał ostatni; nie chciał słuchać pochlebnych uniesień, z jakimi rozwodzono się nad zadziwiającą jego odwagą, nad sposobnościami do przywodzenia ludziom w ważnych wypadkach. Szczerniały od dymu, okryty popiołem, wszedł samotnie do swego pokoju; wyzwane walką siły nagle wypowiedziały mu posłuszeństwo, rozkuczyły się wytężone nerwy — padł jak bez duszy na łóżko, legł nie snem, lecz letargiem — nie spoczynkiem ale niemocą — bezwiednym przedłużeniem najawnych udęczeń.

Zmrok poczynał już gęstnieć, noc zapadała, gdy ocknąwszy się po długim bezwładzie, gospodarz zebrał myśli, spojrzął na zegarek, przypomniał że gości miał w domu, że od rozłączenia się z nimi przy ogniu, dzień czasu upłynął.

Porwał się żywo, zbiegł na dół; kilku tylko towarzyszy zastał posępnie rozmawiających z Juliuszem, reszta nie chcąc mu obecnością powiększać kłopotu, spisała na arkuszu wesoły, pożegnalny list i rozjechała się do domów. Ostatni nawet, oddawna kazali już zaprzęgać, niespokojni atoli o zdrowie przyjaciela postanowili czekać z odjazdem do jego przebudzenia.

Wilczek pół gębkiem ich zatrzymywał, na jeden jeszcze nocleg zapraszał — w duszy rad był, że go zostawiano samego; obowiązki gospodarza dopiekały mu w tej chwili rozpalonem żelazem.

Niebawem pusto było w pałacu — pan domu, wsparty na ramieniu Juliusza, zadowolonym okiem ściagał ostatnią ujeżdżającą bryczkę.

Turkot kół tonął w oddali; Wilczek błędnie oczyma spoglądał przed siebie na wyszczerbiony pożogą szereg zabudowań — zadrżał konwulsyjnie i prędkimi wyrazy rozkazał służbie natychmiast gotować się do wyjazdu. Po tylu zaszłych wypadkach odrażał go dłuższy pobyt na wsi. Morderstwo Lumpmana i tuż w ślady za niem podłożony ogień, zdawały się otwierać przed nim pasmo

coraz straszniejszych zamachów. Obecność jego może ściągała na rodzinną siedzibę nie-szczęścia; umyślił wyrzucić się czempredzej nieubłaganemu przekleństwu, naglił o wyjazd, jak gdyby gnało go całe piekło.

Juliusz nie wchodził nawet w przyczyny gwałtownego postanowienia, i sam niechętnie byłby marnował dłuższy czas na wsi; to też potakującym wzrokiem patrzył na rozsypkę towarzysztwa, przyjmował Wilczka w swoje objęcia, uwoził go tam, gdzie zdaniem jego ważniejsze sprawy obu ich powoływały.

Przyjaciele w milczeniu wskoczyli do powozu, konie ruszyły z kopyta; Juliusz przez drogę dał folgę swoim zamiarom, rozważał, układał w myśli wypadki, stawiał w przyszłości skutki, dociekał w terażniejszości ich sprzęzyn.

Nazajutrz wieczorem, zapyłony powóz zatrzymywał się we Lwowie. Juliusz zmieniwszy odzież, wyszedł niezwłocznie na miasto; Wilczek, orzeźwiony nieco podróżą, wyzwolony z przykrych widoków, pierwszy raz uśmiechnął się do nadziei wytchnienia, do chwili spoczynku.

Znalazł w istocie spoczynek dla ciała; zmiana siedliska, ruch miejski, który od niejakiego czasu zaczynał mu być niezbędnym do życia, powróciły go wkrótce do sił.

Trudniej szło ze spokojem dla duszy.

Oprócz wspomnień dotkliwych, straszna rzeczywistość występowała mu ciągle przed umysł. Dochodził go zdaleka szatański gwar wierzyieli — jeszcze pół roku najwięcej, jeszcze kilkadziesiąt przeklętych dni, z których każdy tak prędko upływał, a ze świetnego pańskiego bytu łachman nędzny mu tylko zostawał. Wilczek byłby dyabłu duszę zaprzędał i szablą później zwrot cyrografu wyrębał byle do Wiednia lub dalej uciec od pozwów, procesów, wywłaszczeń majątku i ostatecznej zraty.

Nie było o czem wyjechać za granicę. Juliusz obiecywał mu pomoc, ale kładł swoje warunki; Wilczek mógł prędzej znieść zagubę, niż upokarzające poddanie się samowładztwu Juliusza. Rady przyjmował, słuchał ich niekiedy, między radą atoli a niewolnictwem, leżała niezgłębiona otchłań pańskiej godności i dumy.

Juliusz przewalający się na złocie, uchodził tylko za bogacza; Wilczkowi równie trudno było przestać być panem, jak człowiekiem.

Wbrew zwyczajom, tym razem nie otworzył domu na rozcież; przykazał nieprzyjmować nikogo, wymówił się chorobą i zamknął na kilka dni u siebie, spragniony samotności i chciwy swobodnej myśli, która miała dopomóc mu do wyłamania zię z niepomysłnych obrotów.

Wilczek czuł się panem swego położenia, tam, gdzie odwagą lub wstępnym bojem można było się przebić; ku chytrym wykreścaniom się przeciwnemu losowi nie miał żadnej zdolności, nie umiał płaszczyć się ani ugiąć; pojmował upadek albo zwycięstwo — ze wstrętem odwracał oczy od wszelkich z nie-szczęściem układów.

Takim przynajmniej trybem kroczył dotąd przez życie — czyliż dalej potrafiłby zboczyć z przyrodzonego sobie kierunku? — sama ko-

nieczność i następstwa wypadków mogły za-wyrokować. Ztąd też i przyszłość nie objawiała mu żadnej nadziei ratunku; ręczne siły nie zdołały ostać się przeciw oczywistej ztracie — zguba niechybnie musiała nastąpić.

Przeszłość natomiast wystąpiła przed nim w jaskrawych barwach, w głębokich wrazeniach.

Pozostawały mu: młodość, zapas dzielnych sił, popęd ku życiu — ku różnemu wszelako od tego, jakie dotąd prowadził. Przesyt hałaśnych uciech ogarniał wszystkie jego władze, niesmak i czczość hucznych rozkoszy dokuczliwie dawały się mu we znaki, błędne jakieś poczucia obowiązków obywatela, majaczyły mu przed sumieniem — w samolubnym życiu, osadzonem jedynie na rozszalałych namiętnościach, bezowocnem, ba, nawet zgubnem często dla drugich, nikiemne dusze mogły tylko znachodzić zadowolenie.

Pora była wejść w samego siebie, wyszlachetnić swą istotę we własnych oczach, pokazać światu, że kto umiał być pierwszym w pogoniach za szalem, ten skoro zechce, nie pozwoli wyprzedzić się na drodze zacnych usiłowań.

Czas było odrodzić się — zacząć inne życie.

Wilczek spojrział na rozłożone przed sobą papiery, na złowrogie szeregi liczb, wypisujące mu groźny wyrok Baltazarowej biesiady.

Zapóźno!... po niewczasie sny błogie marzyć, zapóźno układać zbawienne zamiary!

Wszystko stracone!

Precz z płonną nadzieją, głupców pociechą — niechaj pełni się przeznaczenie! Dalejże — wchodźcie hurmem troski, zgryzoty, nieszczęścia! — skazany czeka was z uśmiechem pogardy na ustach, z rozpienionym w dłoni kielichem! — bierzcie go jak waszą własność, tylko czempredzej do dzieła!... Przy-zwoitemu człowiekowi zginąć wolno; targować się, nudzić — nie wypada.

Wilczek widząc się od kilku dni samotnym u siebie, wybuchnął śmiechem nad pustelnicznymi swymi napady, zamrużył oczy na przyszłość — cokolwiek los mu gotował — postanowił do ostatniej chwili drwić z jego pocisków i nieść jak zwykle, dumną i wesołą głowę przed światem.

W mieście zaczynało pilnie dopytywać się o pobudki jego odosobnienia; mnodzy przyjaciele, z każdym dniem zaciętszy szturm przypuszczali do drzwi. Wilczek sam sobą znudzony, z radością wracał do dawnych zwyczajów.

Przesilenie to łatwem było do przewidzenia dla każdego bliżej obznajmionego ze zmiennym charakterem przywódcy galicyjskiej młodzieży. Juliusz oczekiwał niezawodności przewrotu z niezawodnością nocy po dniu, nie starał się bynajmniej przerywać przyjacielowi naturalnego rozwoju myśli, tem bardziej, że sam potrzebował uprzętnąć wprzód niektóre zawady, usposobić grunt do przyjęcia ziarna ważnych dla obu zamiarów.

Od powrotu do Lwowa, ścigał wszędy jak cień za Dahlmanem, zakradał się mu w łaskę, skarbił pochlebstwem jego przychylności, rozpowiadał z niechcenia, przy bankierze, o świetnych w Wiedniu Wilczka stosunkach, o przy-

jaźni, jaką zaszczycałi go pierwsi dygnitarze Cesarstwa i sam księżę kanclerz, o wziętości, znaczeniu i wpływach, jakie młody magnat potrafił zjednać w towarzystwach stolicy; przytaczał anegdoty żywe, zabawne, dowodzące poufałości Wilczka z popiecznikami tronu, o blasku, jaki roztaczały wrodzone jego zalety i znakomite urodzenie — rzecz dziwna na pozór — znawstwa nawet na handlu i szczególniej przebiegłości w przemysłowo gospodarczych interesach.

Towarzystwo wtórowało mu jednozgodnie. Lwów dla samego przekonania o swojej wartości, musiał potwierdzać zdanie stolicy; Wilczek w Wiedniu był tylko gwiazdą; w Galicyi, jasnym następstwem i stopniowaniem pojęć, błyszczał jak słońce.

Oplakiwano nadwężone jego zdrowie, wdychano za polepszeniem, każdy ubiegał się o pierwsze odwiedziny ulubieńca samego księcia kanclerza.

Dahlman, łapczywie pnący się na szczeble wykwintnego tonu, obyczajem spanoszonych, donośniej od wszystkich łączył swój głos do powszechnego chóru; sam u drzwi Wilczka złożył już był dwa wizytowe bilety, łaskawie przyjmował względy Pyladesa jego Juliusza, który zwłaszcza od powrotu z Wiednia i od złożenia w jego kasie znacznych kwot, nabrał w bankierskich oczach niepospolitej wartości. Słowo ludzkie i bez tego miało pewne znaczenie, ale z ust człowieka rozrządzającego sutym zapasem gotówki, mogła płynąć tylko święta, niezaprzeczona prawda.

Dahlman z miłym uczuciem brał publicznie pod rękę Juliusza, rad pokazywał się z nim na przechadzkach i pozwalał otaczać wyraźną grzecznością i szacunkiem nielada. Juliusz i jedną i drugim opychał go bez miary. Biegle przemyślany zamiar rozwijał się z niesłychaną pomysłnością; należało przystąpić do dzieła, kuć żelazo póki gorące, ze wszystkich razem baterii rozpocząć morderczy ogień.

Wilczek mniej upornie obstawał przy swoim osamotnieniu; Juliusz upatrywał porę, powtórzył mu dopytywania o zdrowie i pochlebne słowa Dahlmana, natarł obcesem na przyjaciela i porwał go wieczorem w odwiedziny do lwowskiego pieniążnika.

Bankier nie posiadał się z uciechy, załował w duszy, że kilka tylko nieznaczących osób uczestniczyło poufalej uprzejmości, z jaką Wilczek odpowiadał na jego przyjęcie; sam zapytany o córkę oświadczył z uśmiechem, że młoda gospodyni dowiedziawszy się o miłych dla całego domu odwiedzinach, z większą zapewne niż kiedykolwiek przyjemnością zejdzie na dół do herbaty.

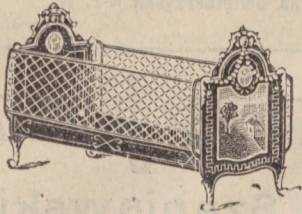
(Dalszy ciąg nastąpi).

TOWARZYSTWO AKCYJNE WŁ. GOSTYŃSKI I S-KA

Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH
WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81
w Moskwie: Rożdniestwienska
dom Tretjakowych.

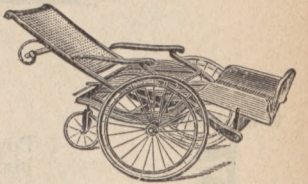


MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy** dziecięce; **Lóżka** systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcje Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony, schody** wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wążkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe.** **Lewary. Ślusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznicz, lodownie pokojowe, kubły, kłozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne, drzewiczki** hermetyczne do pieców. **Ruszy. Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAZNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

62

Filje: w Łodzi, Piotrkowska 81; w Moskwie, Rożdniestwienska dom Tretjakowych; w Kijowie, I. Kühmaer, Fabryka i Skład Mebli, dom własny; Petersburg, Newski Prospekt N-r 42, dom Armiańskiej cerkwi, vis a vis Gościnnego dworu.



Dr. A. BUCKIEWICZ

Wilcza Nr. 28.

Choroby wewnętrzne (zwłaszcza „reumatyzmy” i nerki) oraz skórne (zależne od wewnętrznych, np. plamy, wilki, skrofuly, liszaje, etc.) tudzież skrofuly oczu.

Krom poniedziałków, codziennie od 12 do 1 i od 5-6; w niedziele i święta do 10 rano. Ubogich bezpłatnie.

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK”

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela**, z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13 zeszytów, II-gi kurs 24 zeszyty. Gramatyka Polsko-Francuska, 10 zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).** Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10, lub przynajmniej 6 zeszytów.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs I-y w 14 zeszytach, Kurs II-gi wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13) Na żądanie wysyła się **bezpłatnie I-y zeszyt „Samouczka” Francuskiego i Rosyjskiego.** Skład główny u autora (**Reussnera**), ul. **Złota № 6**, w Warszawie. 4

Pierwszorządne biuro Antoniny Piaseckiej poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. **Krakowskie-Przedmieście Nr. 38** wprost Placu Saskiego. 904-25-24

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI dawniej **M. SZYMAŃSKI** Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych w Warszawie, **Senatorska № 10** poleca: Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia. 913-28-25

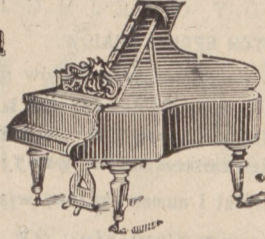
Władysław Popiel

Jubiler. Egzystuje od 1858 r.

Warszawa, **Senatorska Nr. 6** Poleca wielki wybór biżuterii gustownej po cenach przystępnych. 1016-26-16

Największe w Kraju

Pianin



Składy Fortepianów,

i Melodykonów

HERMAN i GROSSMAN

WARSZAWA, Mazowiecka № 16.

St.-PETERSBURG, MOSKA, LUBLIN.

WYNAJEM.

Sprzedż na rozplaty miesięczne począwszy od 25 rubli.

Illustrowane katalogi na żądanie franco i gratis.

Pierwsza specjalna fabryka

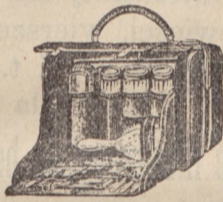
wyrobów skórzano-galanteryjnych i przyborów podróżnych

B-ci NEUMAN, w Warszawie

5. Bielańska 5.

Poleca wielki wybór: Waliz, toreb, nesseserów podróżnych, [pudełek do kapeluszy skórzanych i drewnianych, kuferki, ramki, albumy, pledy, paski, portfele, pugilaresy, portmonetki, portcygary

tylko Bielańska 5 22
od R. 3 do R. 25. hurtowych.



tylko Bielańska 5 22

Przyjmuje się zamówienia na pojedyncze sztuki.

Wysyła się za zaliczeniem.

od R. 2,50 do R. 20.

STEFAN TERTUS Z ODESSY

(Firma egzystuje od 1864 roku).

Otworzył Filję Składów Herbaty: Chińskiej i Cejlońskiej w Warszawie, **Plac Krasiński Nr. 3.**

Uwaga. Komisya Sewastopolska po analizie produktów spożywczych i napojów, uznała herbatę Stefana Tertusa za czystą i bez wszelkich domieszek obcych liści i różnych farbowań. (Kr. Wiestn. z dnia 10/22 1897 r. za Nr. 324).

Zarządzający filią **M. Lisser.**

76

NIEZRÓWNAE, NADER PRAKTYCZNE PASY BRZUSZNE

(także pępkowe i nerkowe) zostały nowo-wynalezione i opatentowane! Są one także i elastyczne, leżą znakomicie i mogą być przez każdego za pomocą umieszczonych na nich śrubek rozszerzone, zwężone, przedłużone i obrócone, przez co też są one najdoskonalszemi pasami brzuszniemi. Otrzymane je można (także po listownem podaniu miary objętości brzucha w najgrubszym jego miejscu) jedynie w Zakładzie Optyczno-Chirurgicznym **J. Drehera, Szpitalna 6.** Tamże Bandaże ruptyrowe elastyczne (bez sprężyn), oraz sprężynowe z pelotami gumowemi (nowość!), ściśle przylegające i nie ugniatające, Geradehalter, Pończochy elastyczne, Przepaski ochronne damskie, Narzędzia lekarskie, Wyprawy pługowe, Irygatory, Termometry lekarskie minutowe, oraz inne, Okulary i Binokle etc. etc.—Wybór wielki. Ceny najniższe. Wysyłka pocztą za zaliczeniem.

18

WAŻNA WIADOMOŚĆ!



Taniej niż wszyscy handlarze w mieszkaniach prywatnych sprzedają od dziś dnia świeżo przybyły transport Kanarków z gór Harcu i Tyrolu, indyjskie, brazylijskie i amerykańskie salomonowe ptaszki śpiewające. **Parugi gadające, Kakadu białe i różowe, Inseparables, czerwone Kardynały, chińskie słowiki, złote i srebrne rybki, grotty, akwarya, eleganckie klatki i wszystkie gatunki muszli, oraz wyroby z tyczki i z brązu** Uprasza się o zwrócenie uwagi na ceny w oknie wystawowem. **Nowo-Senatorska № 7, Ernest Peszel.**

MAGAZYN MEBLI ANTONIEGO STRÓMIŁO

Bracka Nr. 25.

Poleca: Kredensy, Szafy, Stoły, Łóżka Umywalnie, Bielizniarki, całkowite urządzenia pokoi Sypialnych i Stołowych oraz wielki wybór Mebli wyściełanych.

CENY NIZKIE. 1026-52-2

Dozwolone przez Warszawski Urząd Lekarski na ogólnych zasadach handlu



„WENZUELA”

wynalazku

SZYMONA KOHENA

w Warszawie

Usuwa piegi i plamy skórne, ora udelikatnia, gładzi i nadaje białość cerze Sprzedż w składach Aptecznych i Per-tumerjach.

Główny skład **Dzika № 9.**

Stółk 75 kop.

RESZTKI

materiałów bławatnych, podszewki krawiecł madepalam poleca **bardzo tanio**

W. MORGENSTERN

To **Graniczna № 9, m. 10.**



K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin. Wynajem i sprzedż na raty

Telefon 1288. Cenniki gratis i fran-

944-53-45

35 **KROAZY.** KROAZETKI, GROLINY i wszelkie dodatki do sukien. **TOWARY NORYMBSKIE.** Przybory do gorsetów i Towary doborowe damskiej konfekcyi. Wybór wielki. Ceny najniższe. Poleca: **Antonina Plicht** ul. Ś-to Krzyska Nr

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne Handlu Towarami Aptecznemi dawniej

Zjednoczeni Aptekarze i Ludwik Spiess i Syn

Zarząd i Składy Główne ul. Senatorska № 24.

Filje: w Warszawie: Plac Teatralny, ul. Marszałkowska 140; w Łodzi: ul. Piotrkowska 11.

polecają:

Świeżą oliwę nicejską.

Octy francuskie i inne.

Lakiery spirytusowe.

Lakiery kopalowe.

Galatyny.

Farbki do bielizny.

Perfumy.

Mydła.

Farby olejne.

Proszek na owady.

Znacznie powiększona

BIESIADA

LITERACKA ILLUSTROWANA.

DLA RODZIN POLSKICH.

W Warszawie rocznie:

5 rs.

a z dodatkiem rb. 6.50.

Redaktor Władysław Maleszewski.

Powieści, podróże, sztuki piękne, wiadomości z literatury, biografii, pedagogii, chwili bieżącej, polityki, z naszych miast, wsi, z zagranicy. Rebusy, szarady i t. p. rozrywki. Liczne ilustracje wypadków w kraju i zagranicą. Kopie obrazów, rzeźb, krajobrazy, pomniki, portrety, zabytki przeszłości. Spółpracownictwo znanych literatów i artystów. **Premia bezpłatne do wyboru:** Książki, obrazy kolorowane, między niemi Ojciec nasz, Zdrowaś Marya, Wierzę w Boga, Rozkosze dziadunia, W polskim lesie, portrety Sobieskiego, Czarnieckiego, Jadwigi, X. Skargi, J. I. Kraszewskiego, Mickiewicza.

DODATEK DO BIESIADY OBEJMUJE:

WYBÓR PODRÓŻY I POWIEŚCI Z RÓŻNYCH EPOK I KRAJÓW.

Czytelnik rozszerza lub odnawia swą wiedzę, przez przypomnienie faktów dziejowych.

Upraszamy dotychczasowych prenumeratorów Biesiady o wiadomość: od którego roku trwa ich prenumerata i o aforyzm własny. W „HERBARZU JUBILEUSZOWYM“ pomieścimy aforyzmy najlepsze i nazwiska czytelników, którzy są sprzymierzeńcami i przyjaciółmi Biesiady.

Prenumeratę nadsyłać można rocznie, półrocznie, kwartalnie. Prospekt i numer okazowy wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Adres: Biesiada Literacka, Warszawa, Chmielna 26.

Z przesyłką rocznie

6 rs.

a z dodatkiem rb. 8

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

Bronisławy Müller

(Bednawskiej)

przeniesiona została z ul. Aleksandrya

na Świętokrzyską N-r. 17.

973-25-21

Klemens Junusza

(K. Szaniawski)

Z pola i z bruku. kop. 80

Wnuczek i inne nowelle i obrazki. „ 80

Ojciec Prokop, karta ze wspomnien „ 20

Do nabycia

we wszystkich księgarniach

oraz w Administracji

„Tygodnika Mód i Powieści”

SKŁAD MEBLI LUD. PRASAŁEK.

poleca w wielkim wyborze meble stylowe oraz kompletne urządzenia Salonów, Jadalni, Sypialni i Buduarów Ceny przystępne. Ulica Bracka 9 róg Nowogrodzkiej. 20

„Kuryer Codzienny”

rozpoczął w odcinku druk nowelli Zygmunta Sarneckiego p. t. „MURZYN,” następnie zamieścił utwór Michała Bałuckiego p. t. „PAMIĘTNIK MUNIA” i Elizy Orzeszkowej „DYMY,” a po ich ukończeniu obszerniejszą powieść współczesną Artura Gruszeckiego.

Cena „Kuryera Codziennego” wynosi: w Warszawie: rocznie rub. 6, półrocznie rub. 3, kwartalnie rub. 1 kop. 50, miesięcznie kop. 50; na prowincyi: rocznie rub. 9, półrocznie rub. 4 kop. 50, kwartalnie rub. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75.

Wszelkie przesyłki pieniężne najlepiej adresować wprost pod adresem administracji „Kuryera Codziennego” Warszawa, Krakowskie-Przedmieście N-r 17 (Telefonu N-r 413).

Każdy prenumerator „Kuryera Codzien.” otrzyma w końcu każdego kwartału r. b.

tom Poezyi SŁOWACKIEGO.

Pragnący odbierać Poezye Słowackiego w oprawie, zechcą nadsyłać na koszty oprawy po 15 kop. do każdego tomu. 82

„GAZETA POLSKA”

Dziennik polityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

„Gazeta Polska” od roku zeszłego daje prenumeratom swoim stale jako

Bezpłatny dodatek Tygodniowy

Co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej” otrzymuje od nas

COROCZNIE

52 tomy książek darmo.

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom rodzin, którym obok pisma codziennego, stale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest bezpłatnie wszystkim prenumeratom zarówno w Warszawie jak na prowincyi. Obejmuje on dziesięć arkuszy druku i ma za treść co tydzień inny utwór wybitny, bądź oryginalny, bądź tłumaczony.

Dotychczas, t. i. od rozpoczęcia wydawnictwa w Październiku roku zeszłego weszły do niego dzieła następujących pisarzy: H. Adersen'a, Józefa Blüzniskiego, J. Breton'a, Adolfa Dygasńskiego, J. W. Goethe'go, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jeża, Ma-

ryi Konopnickiej, Stanisława Kozłowskiego, Teofila Lenartowicza, Jana Lema, J. Lie, Ireny Mrozowickiej, Józefata Nowińskiego, Tadeusza Padalicy, St. Pileckiego, E. Rostanda, Marka Twaina, Michała Synoradzkiego. Razem w ciągu trzech kwartałów 39 tomów 21 autorów. W druku dzieła Elizy Orzeszkowej, Klemensa Junoszy i w. in.

W wyborze materiału literackiego o naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp.

Zyg. Gloger, Kaz. Kaszewski, i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ” wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym.

W Warszawie: Rocznie 9.60, półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40, miesięcznie kop. 80. Z odnośnieniem do domu. Z przesyłką pocztową: Rocznie rs. 12, półrocz. rs. 6, kwart. rs. 3.

CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:” Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop. 8. Za wiersz petitowy reklamy na trzeciej stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologii wiersz kop. 15. 78

Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

Nauce i Rozrywce Młodzieży Poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część ilustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne książka.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1, rocznie rs. 4. Na prowincyi kwartalnie rs. 1 k. 25, rocznie rs. 5.

Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłają się numera okazowe.



Sprzedż dozwolona przez Warsz. Urząd. Lek. za Nr. 2429 na ogóln. zasad. handlu.

MACZKA OWSIANA KNORRA

Najlepszy i najpożywniejszy

Pokarm dla dzieci.

Wyborowa **TAPIOKA** brazylijska
Marka „U L”.

Sprzedż w aptekach, składach aptecznych, handlach kolonialnych i spożywczych.
Skład główny w domu handlowym **JAGIEŁŁO i KORZYCKI** w Warszawie.

Pracownia Sukien i Okryć Damskich

Zofii LECKIEJ

HOŻA 27, m. 22,

Wykonywa wszelkie roboty po bardzo niskich cenach.